



18 Sen
o Senacie



22 Patriarchat
wraca



72 Świat odkrywa
Tokarczuk

Polityka

- 14 Anna Dąbrowska
PiS: miało być lepiej
18 Wojciech Szacki
Senacki serial

Spółeczeństwo

- 22 Rozmowa z **Joanną Drosio-Czaplińską** i **Jackiem Masłowskim** o powrocie patriarchatu
26 Juliusz Ćwieluch
Bałtów: polityczny spór z dinozaurami w tle
29 Edyta Gietka **Emeryci zadłużeni z samotności**

Rynek

- 32 Cezary Kowanda
Co robić z uziemionymi samolotami
36 Edwin Bendyk
Nobel z biedy

Świat

- 38 Klaus Bachmann UNIA
Co może komisarz rolny
41 Artur Domosławski ARGENTYNA
Kryzys goni kryzys
44 Rozmowa z **Ołehem Sencowem** o tym, jak reżim Putina dusi Ukraińców i Rosjan

Historia

- 46 Andrzej Krawczyk
Wielka wojna receptą na wielki krach
49 Jagienka Wilczak
1944: ucieczka z Ursprung
52 Michał Siedziako
Jak narodziła się Solidarność Walcząca



Oko na eko

- 54 Cezary Kowanda
Nasz węglowy ślad
56 Marcin Piątek
Ekopozew przeciwko Elektrowni Bełchatów
59 Jędrzej Winięcki
Klimat jak za PRL
62 Prof. Kazimierz Rykowski o tym, ile wart jest las

Ludzie i style

- 64 Rozmowa z alpinistą **Christianem Trommsdorffem** o polskich turystach i ich ratownikach

Kultura

- 72 Justyna Sobolewska
Ile książek sprzedaje Nobel
75 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**
76 Jakub Demiańczuk **Bohdan Butenko i jego niezapomniane rysunki**
79 Dorota Szwarzman
Literatura w operze
82 KAWIARNIA LITERACKA
Krzysztof Siwczyk

Nagrody Naukowe POLITYKI

- 83 Laureaci i finaliści

Na własne oczy

- 92 Jędrzej Winięcki, fotografie
Leszek Zych **Sejm od środka**

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 35 Przegląd informacji rynkowych
- 68 Afisz • 86 Chutnik i Plebanek
- 87 Passent • 88 Hartman
- 89 Tym • 90 Do i od redakcji
- 91 Mizerski na bis • 98 Polityka i obyczaj



www.mleczko.pl

GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Marian od innej strony

Politykami budzącymi obecnie najwięcej niechęci i dlatego wzywani do natychmiastowego ustąpienia z zajmowanego stanowiska są Marian Banaś i Grzegorz Schetyna. Wszyscy pasjonują się tym, kiedy Banaś i Schetyna ogłoszą dymisję, chociaż trudno powiedzieć, czyja dymisja cieszy się większym poparciem. Odejścia Banasia żądają przede wszystkim politycy obozu rządzącego, którzy niedawno powołali go na stanowisko. Jednocześnie wśród polityków obozu rządzącego panuje zgodna opinia, że dla dobra tego obozu Schetyna powinien zostać i dalej przewodzić opozycji. Na odejście Schetyna mocno naciskają natomiast członkowie kierowanej przez niego partii, którzy z kolei w sprawie odejścia Banasia są bardzo podzieleni. Część z nich nie kryje, że wiąże z Banasiem określone nadzieje i jest za tym, żeby Banaś nie odchodził, tylko dalej szkodził PiS swoją osobą jako szefa NIK. Zwłaszcza że w świetle ustaleń służb specjalnych jego sprawa jest rozwojowa, a majątek, który Banaś mógł zataić przed fiskusem, stale rośnie. Jest on już tak duży, że nawet dobrzy znajomi Banasia, tacy jak marszałek Karczewski, potwierdzają, że co prawda znają Banasia jako kryształowo uczciwego, „ale nie od tej strony”. Opinie na temat tego, czy w lepszej sytuacji jest dzisiaj Schetyna, czy Banaś, są podzielone. Niektórzy uważają, że bardziej przegrany jest Schetyna, bo kierowana przez niego KO uległa PiS, podczas



gdy Banaś, mimo wywieranej na niego presji i brutalnego szantażu moralnego, PiS nie uległ. Chociaż PiS chciało, żeby Banasia już nie było, on właśnie skończył urlop bezpłatny i powrócił w wielkim stylu, zapowiadając, że będzie się przeciwstawiał „wszelkim próbom ataku na jego osobę jako prezesa NIK”. Tym samym Banaś okazał się silniejszy od Jarosława Kaczyńskiego i całego państwa PiS, potwierdzając, że ksywka Pancerny Marian słusznie mu się należy. Moim zdaniem zaprezentował się o wiele lepiej od Schetyna, bo nie czarujmy się, Grzegorz Schetyna, który bezskutecznie próbuje przeformować swojego kandydata na marszałka nowego Senatu, wypada przy Banasiu słabo.

Determinacja Banasia musi robić wrażenie, jeśli wziąć pod uwagę, że ma on przeciwko sobie nie tylko państwo PiS z prezesem tego państwa na czele, ale także wpływowe środowiska, które – jak sam przyznaje – na skutek zainicjowanej przez niego reformy służb celnych i skarbowych „utraciły dotychczasowe wpływy na możliwość podejmowania najważniejszych decyzji w Rzeczypospolitej Polskiej”. Wygląda na to, że jako szef NIK Banaś nie może obecnie liczyć na niczyje wsparcie, no, może z wyjątkiem osób z półświatka, z którymi – jak wiemy – był w kontakcie telefonicznym. Na czyje wsparcie może dziś liczyć Grzegorz Schetyna, trudno powiedzieć.



Każda branża ma swoje reguły. My je rozumiemy.

Żadna firma nie funkcjonuje w próżni. Prowadzenie efektywnego biznesu wymaga doskonałej znajomości sieci wzajemnych powiązań między różnymi sektorami. Nasi Klienci nie zawsze mają czas na pogłębione analizy. Dlatego oferujemy im wsparcie ze strony doświadczonych ekspertów, którzy na bieżąco śledzą trendy rynkowe i proponują optymalne rozwiązania, dostosowane do indywidualnych potrzeb Klienta.

Bank, który rozumie Twój biznes.

 **Santander**
Bankowość Biznesowa i Korporacyjna

Kup książkę

Teraz dogrywka



Jerzy Baczyński

Jeszcze przez dłuższy czas będziemy szukali odpowiedzi, co wydarzyło się 13 października. Wynik wyborów jest zaskakujący i kompletnie nieoczywisty, nawet w najprostszym wymiarze – liczbowym. Nagle 235 mandatów dla PiS – dające skromną, ale wystarczającą do samodzielnego rządzenia większość – po wyborach zamieniło się w 199, bo okazało się, że dwa „koalicyjne ugrupowania” Zjednoczonej Prawicy, czyli „ziobryści” i „gowinowcy”, dotychczas istniejące jako byty wirtualne, nabrały politycznej masy, wprowadzając do Sejmu równo po 18 posłów. Nie wiadomo, czy Jarosław Kaczyński czegoś nie dopatrzył, coś zlekceważył, ale dopuszczając do reaktywacji owych stronnictw, już ma kłopot i żadnych korzyści. Od wyborów obserwujemy w obrębie Zjednoczonej Prawicy prężenie mięśni, popisy „koalicjantów” i nawet jeśli prezes za moment twarzą do przywoła ich do porządku (więcej o tym s. 14), sytuacja zmieniła się obiektywnie. PiS wcale nie musi mieć w każdym głosowaniu stabilnej sejmowej większości. I dla Zbigniewa Ziobry, i dla Jarosława Gowina otwiera się w nowym układzie przestrzeń dla politycznych manewrów (polecam komentarze na s. 8–9). Niepokój w partii podsycana planowana hospitalizacja Jarosława Kaczyńskiego. Wiadomo, że PiS jest formacją, w której występuje tylko jeden kot oraz stado myszy, które spuszczone z oczu nie tylko mogą harcować, ale wręcz się pozagryzać.

Właściwie wszystkie liczby, które wypadły z urn, potwierdzają tezę o „gorzkim zwycięstwie” Jarosława Kaczyńskiego. Komentarze po tzw. prawej stronie są dalekie od euforii, sprawiają wrażenie wzajemnych poszturchiwań: cieszymy się, przecież wygraliśmy! Dominuje jednak kiepsko skrywany zawód, że to tylko 235 mandatów – mimo fantastycznej kampanii, dziesiątków rodzinnych pikników, efektownych konwencji, tysięcy plakatów na tysiącach płotów, ciężkiej pracy kandydatów, mimo 100 mld zł w obietnicach dla wyborców, poparcia Kościoła, całodobowej bezpłatnej kampanii wyborczej w TVP, mimo słabości i podziałów w opozycji – i ani jednego mandatu więcej niż w 2015 r. Czyżby to znaczyło, że sufit był niżej, niż się komukolwiek wydawało? Że polityczna energia 500 plus, dodatkowych emerytur, LGBT itp. znalazła swój limit? Znakomite 8 mln głosów na PiS zostało przeważone 9 mln oddanymi na zdeorganizowaną opozycję i jeszcze milionem głosów na „odpychającą PiS od prawej ściany” Konfederację. Do tego doszła formalna utrata większości w Senacie (jakimi trikami PiS próbuje ją odzyskać s. 18). Wróciła do Sejmu politycznie wygotowana Lewica; znakomity (względem oczekiwań) wynik uzyskało PSL. Jak ktoś złośliwie skomentował: Kaczyński odniósł zwycięstwo, po którym trudno mu się będzie pobierać.

Z resztą, prawdę mówiąc, opozycja nie tylko nie wierzyła w możliwość odzyskania władzy w październiku 2019 r., ale i niespecjalnie się do tego paliła. Taki wynik jak ten z 13 października brano by przed wyborami w ciemno. Dlaczego? Samo ewentualne montowanie wielokoalicyjnego rządu jawiło się jako personalna i programowa gehenna, w dodatku pozbawiona sensu, bo do czasu wyborów prezydenckich weta Andrzeja Dudy zapewne paraliżowałyby każdą próbę „depisyzacji” państwa. W naszym systemie konstytucyjnym arytmetyczna większość parlamentarna, mająca naprzeciw siebie wrogięgo prezydenta, staje się legislacyjnie bezradna. W tym sensie od wyborów parlamentarnych – przy tak niewyraźnym ich

rozstrzygnięciu – ważniejsze okazują się nagle te nadchodzące, prezydenckie. I to dla obu stron. Dopiero wynik tej dogrywki domknie interpretację październikowego głosowania, która do tego czasu pozostaje w zawieszeniu.

Alte istniały jeszcze pozaprawne argumenty na rzecz tezy, że najlepszym dla opozycji wynikiem wyborów byłoby „pozostawanie PiS przy władzy, z możliwie najsłabszym mandatem”. Chodzi o skalę zobowiązań podjętych przez PiS (i licytowanych przez opozycję). Obecnie gospodarka znajduje się w najwyższym punkcie cyklu; spadek jest na horyzoncie. Gdyby teraz PiS oddał władzę, łatwo byłoby mu budować gierkowski mit „przerwanej dekady”, a tak wkrótce sam będzie się musiał mierzyć z tym, co nagadał. Jeśli PiS miałby być kiedykolwiek skutecznie pokonany, powinien przejść przez fazę demistyfikacji i autokompromitacji.

Przeciwko takim kalkulacjom dotychczas przemawiało jedno: obawa, że po wygranej w 2019 r. PiS „dokończy dzieła” przemowy państwa przez partię, rozbije niezależne sądownictwo, media, samorządy, ograniczy swobodę działania opozycji i nawet w przypadku przyszłego kryzysu już nie odda władzy. Wynik wyborów 13 października zmniejsza jednak prawdopodobieństwo tego scenariusza. Niby formalnie PiS ma prawie tyle samo władzy co przez ostatnie lata, kiedy robił, co chciał, ale społeczny klimat się zmienił. Jeśli rzucenie tak wielkich sił na front nie przyniesie miążdzącego zwycięstwa, to już nie przyniesie. Partia Kaczyńskiego nie ma większości; koniec i kropka. Rachunki głosów pokazują, że i rząd może nie dotrwać do końca kadencji. A to oznacza psychologiczny przełom: rośnie ryzyko wiązania życiowych szans i karier z PiS; bycie „pisowskim” sędzią, prokuratorem, dziennikarzem, reżyserem itp., zawiązującym swoje awanse partii, za moment może być biograficznym obciążeniem. Pochód stracił impet i chyba też entuzjazm. To nie oznacza oczywiście, że prezes Kaczyński „odpuści”, ale rewolucja pozbawiona mitu „niezlomnego poparcia mas” jest już tylko pucem i awanturą. A mit właśnie się zachwiał.

Po wyborach bardziej zmienił się polityczny nastrój niż rzeczywistość. To przede wszystkim zasługa antypisowskich wyborców, którzy wreszcie zdołali się przy urnach policzyć. Jednak 5 mln głosów na Koalicję Obywatelską nie było dowodem uznania dla kampanii wyborczej KO, przywódczych czy organizacyjnych kwalifikacji Grzegorza Schetny oraz jego najbliższych współpracowników. Przeciwnie; głosowano mimo tego, bo sama kampania to była katastrofa. Żądania dymisji Schetny są więc zrozumiałe. Jednak dla największej partii opozycyjnej byłoby lepiej nie wszczynać dziś jawnej personalnej wojny. Można chyba przeprowadzić cywilizowane wybory nowego szefa, nie poniżać Schetny, ale przede wszystkim wrócić do „obywatelskich” korzeni PO, otworzyć się na nowych członków, organizacje i środowiska, zbudować wreszcie profesjonalną organizację i sztab wyborczy. Jest parę tygodni na refleksję i reorganizację przed dogrywką. Także Lewica ma przed sobą ćwiczenia z jedności, a PSL ze spójności i wzajemnej lojalności działaczy. Ważne, że polska polityka na nowo ruszyła z miejsca. Gra trwa.

Jan Koza



Skrajnie niebezpieczny projekt

Joanna Podgórska

Pod hasłem „Stop pedofilii” skrajna prawica znów próbuje przemycić niebezpieczne treści. Najpierw hasło posłużyło do ataków na środowisko LGBT, teraz ma wykończyć – i tak rachityczną – edukację seksualną. Fundacja Pro-Prawo do Życia złożyła w Sejmie projekt nowelizacji Kodeksu karnego, który zakłada karę grzywny, ograniczenia albo pozbawienia wolności do lat dwóch za publiczne propagowanie lub pochwalanie podejmowania przez małoletnich obcowania płciowego lub innej czynności seksualnej. Kara rośnie do lat trzech, gdy ktoś czyni to w środkach masowego przekazu albo gdy działa w związku z zajmowanym stanowiskiem, wykonywanym zawodem, wychowaniem, edukacją, leczeniem małoletnich, opieką nad nimi lub działając na terenie szkoły czy innej placówki opiekuńczej bądź wychowawczej. Jeden z posłów PiS zaproponował, aby karę pozbawienia wolności podnieść do lat pięciu, by nie zapadały wyroki w zawieszeniu. Projekt został skierowany do dalszych prac w komisji.

Jego autorzy tłumaczą, że nie chodzi im o to, by edukacji zakazać, ale w uzasadnieniu czytamy, że zmiana ma chronić małoletnich przed demoralizacją, która „rozwija się w niebezpiecznym tempie i dotyka tysięcy najmłodszych Polaków za pośrednictwem tzw. edukacji seksualnej”. W istocie te zapisy są bardzo



Wrocławski protest Jesień Średniowiecza.

niebezpieczne, otwierają bowiem szerokie pole do interpretacji. Bo co to znaczy „propagować”? Czy do więzienia mają trafiać edukatorzy seksualni, którzy mówią o antykoncepcji albo przekonują, że masturbacja jest czymś naturalnym? A może ginekolodzy wystawiający nastolatkom receptę na pigułki antykoncepcyjne lub autorzy książek na temat seksualności dla młodzieży?

Już dziś sytuacja w Polsce jest pod tym względem absurdalna. Seks po ukończeniu 15. roku życia nie jest penalizowany. 16-latką może współżyć, ale nie może zachować się odpowiedzialnie i iść sama, bez rodzica, do ginekologa. Teraz jeszcze ma być odcięta od rzetelnej wiedzy aż do pełnoletniości. Firmowanie tego projektu

hasłem „Stop pedofilii” jest albo skrajną hipokryzją, albo skrajną ignorancją. Jest to raczej prezent dla pedofilów, bo najlepszą ochroną przed seksualnym wykorzystaniem jest właśnie rzetelna wiedza. Dzieci, dla których seks jest otoczony atmosferą tabu i wstydu, nie potrafią się bronić.

Można tylko mieć nadzieję, że po masowych protestach ulicznych w wielu polskich miastach PiS umieści ten projekt w sejmowej zamrażarce. Ma teraz inne problemy na głowie. Pojawiły się spekulacje, że wyciągnięcie go na ostatnim posiedzeniu Sejmu było próbą przykrycia afery wokół prezesa NIK Mariana Banaś. Ale to jest igranie z ogniem. Żeby nie było jak z czechowską strzelbą, która zawieszona na ścianie w pierwszym akcie wypala podczas trzeciego.

KOMENTARZ

Marian Niezatapialny, czyli państwo z dykty

Ewa Siedlecka

Marian Banaś, którego biznesowe związki z krakowskimi sutenerami i ukrywanie dochodów ujawnił „Superwizjer” TVN, wrócił do pracy w NIK. Wrócił, kiedy CBA ogłosiło zakończenie kontroli jego oświadczeń majątkowych i zasugerowało, że są tam nieprawidłowości. Najwyraźniej nie dogadał się z prezesem PiS, że ustąpi w zamian za niedrażnienie tematu jego zeznań majątkowych. Gdyby ustąpił – PiS miałby czas obsadzić nowego szefa NIK, zanim utraci kontrolę nad Senatem, bo ten – według konstytucji – musi wyrazić zgodę na kandydaturę na szefa NIK. Banaś prawdopodobnie nie dał wiary swoim partyjnym kolegom, że jak ustąpi, to go nie ruszą. Sądzi zapewne, że może szantażować ludzi władzy kontrolami, jeśli ci myśleliby o oskarżeniu go o nieprawdziwe zeznania majątkowe i zaniżanie zarobków z najmu.

I rzeczywiście, może szantażować. Ale – dla bezpieczeństwa – PiS może się go pozbyć z NIK. Bo nieusuwalność gwarantuje jej szefowi nie konstytucja, ale ustawa. A tę PiS może zmienić, np. dopisując, że Sejm może odwołać szefa NIK, jeśli utraci on jego zaufanie. Nie byłoby to zgodne z duchem konstytucji, według której NIK jako organ kontroly powinna być politycznie zależna. Ale jak trzeba będzie, to Trybunał Konstytucyjny Julii Przyłębskiej podziurzy i tę zmianę. Tak jak podziurzył odwołanie sędziów z Krajowej Rady Sądownictwa i wybór nowych przez posłów.

Nowego szefa NIK partia Kaczyńskiego powołać nie zdoła, jeśli nie dogada się z opozycją w Senacie. Ale znowu: może zmienić ustawę i dopisać tam np. funkcję p.o. szefa NIK z odpowiednimi kompetencjami. I dać prawo np. marszałkowi Sejmu wskazywania zastępców szefa NIK (dziś wskazuje ich prezes).

Widać więc, że PiS może poradzić sobie z tą sytuacją. Ale jak mogło do niej dojść? Najprostsze wyjaśnienie: wybrali człowieka, na którego mieli haki, więc mogli liczyć na jego posłuszeństwo. Ale Marian Banaś był wielokrotnie prześwietlany pod kątem przyznania dostępu do tajemnic. Pierwszy raz już w 2001 r. Od tego czasu pracował w NIK, był podsekretarzem stanu w Ministerstwie Finansów, szefem Służby Celnej, Krajowej Administracji Skarbowej i ministrem finansów. Ostatni raz ABW sprawdzała go w 2016 r. A więc albo służby od lat są nieudolne, albo za kolejnych rządów uznawano, że kontakty biznesowe z sutenerami i gangsterami, a także unikanie płacenia podatków nie dyskwalifikują funkcjonariuszy publicznych.

Cała sytuacja jest demoralizująca i destrukcyjna dla państwa. NIK prawdopodobnie będzie kolejną instytucją fasadową, po TK, neoKRS, Radzie Mediów Narodowych czy Urzędzie Ochrony Danych Osobowych. Będzie też kolejnym argumentem za ograniczaniem unijnych dotacji, których wydatkowanie kontroluje właśnie NIK.



Drugie starcie

Ludwik Dorn

Za nami parlamentarna pierwsza krew, przed nami prezydenckie drugie starcie, po którym przez lata trzeciego nie będzie. Jeżeli PiS ponownie nie zainstaluje Andrzeja Dudy w dużym Pałacu, to będzie musiał wszystkie plany zrewolucjonizowania Polski, które przed wyborami ogłosił prezes Kaczyński, zawiesić na kołku. **Niepi-sowski prezydent na pewno zastosuje weto wtedy, gdy ta partia będzie zmieniała w kierunku autorytarnym ustawy ustrojowe.** PiS zatem będzie musiał w swoim rozumieniu wegetować, grzęznąć w bagnie „imposybilizmu”. Ale to nie wszystko. Po przegranych przez partię rządzącą wyborach prezydenckich niechętni PiS-owi ludzie w aparacie państwowym odzyskają ducha, a dla zwolenników PiS, nawet tych przez tę partię awansowanych, przyjdzie czas chłodnej, oportunistycznej kalkulacji. Skoro partyjne słońeczko minęło już zenit i nieuchronnie zachodzi – a taki będzie odbiór przegranej w wyborach prezydenckich – to może nie należy być zbyt wyrywim w realizacji partyjnych dyrektyw, bo „spisywane będą czyny i rozmowy” i przyjdzie za nie słono zapłacić, gdy władza rządowa się zmieni. Ale ten sam mechanizm zadziała w drugą stronę, w przypadku wygranej PiS. Po stronie opozycyjnej dojdzie do załamania morale, a w aparacie państwowym – z sądami, prokuraturą, policją, skarbowką i służbami specjalnymi włącznie – nasilą się oportunistyczne reakcje dostosowawcze: demokracja i konstytucja to bardzo ważne sprawy, ale żyć jakoś trzeba. Droga do powołania, dzięki narzędziom państwowym, „nowej elity ekonomicznej” zostanie otwarta. Opozycji nie powinna usypiać przewaga 900 tys. głosów nad PiS w wyborach parlamentarnych. W sondażu prezydenckim Kantaru dla TVN w najlepszym dla opozycji wariantcie Andrzej Duda wygrywa w drugiej turze stosunkiem 48 do 42 proc. głosów. Dokonałem szacunków i wychodzi na to, że obecnie 95 proc. elektoratu PiS jest przyspawanych do Andrzeja Dudy, natomiast po stronie opozycyjnej ok. 10 proc. deklaruje głosowanie na obecnego prezydenta, a ok. 10 proc. się waha. Bez zniwelowania tej różnicy przez opozycję czeka ją przegrana ze wszystkimi tego smutnymi dla Polski konsekwencjami.



Profesor na prezydenta?

Marek Migalski

Uzyskanie minimalnej większości w Sejmie i przegrana w walce o Senat pokazały granice poparcia dla „dobrej zmiany”. A także dla ubiegającego się o reelekcję prezydenta. Na wszystkie trzy ugrupowania prodemokratyczne (KO, SLD, PSL) oddano w sumie 8 958 824 głosy, natomiast na siły parademokratyczne (PiS, Konfederacja) – niewiele więcej, bo 9 308 888 (samo PiS otrzymało ich 8 051 935). To pokazuje, że Duda nie może spać spokojnie, jeśli opozycji uda się wystawienie dobrego kandydata, który będzie reprezentował ideały bliskie elektoratowi wszystkich sił opozycyjnych. Obecny lokator Belwederu może być pewien jedynie wyborców PiS, zatem ma małe szanse na zwycięstwo w pierwszej turze. **Do drugiej na pewno wejdzie kandydat PO, kimkolwiek by był. Taka jest logika partyjnych solidarności. Nawet najlepszy kandydat lewicy czy ludowców nie będzie miał z nim szans.** I dlatego tak fundamentalną kwestią jest to, kogo wystawi Platforma. Jeśli będzie to działacz partyjny – jako się rzekło – bez problemu wejdzie do drugiej tury i równie pewnie przegra w niej z obecnym prezydentem. Dlaczego? Bo wyborcy lewicy i ludowców, nawet pomimo apeli swoich liderów, nie będą chętnie głosować na członka innej partii. Sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej, gdyby PO zdecydowała się postawić na kogoś politycznego, ale niepartyjnego. Na kogoś łatwego do zaakceptowania w drugiej turze przez wyborców lewicy i PSL, a jednocześnie niewzbudzającego furii u konfederatów, którzy mogą przy tej alternatywie zostać w domach (z tego powodu odpada, świetny skądinąd, Adam Bodnar, bo uważany jest tam za skrajnego lewaka). Dziś na myśl przychodzi mi nazwiska profesorów Marcina Matczaka i Krystiana Markiewicza (prezesa Iustitii), którzy znani są z walki o łączące PO, lewicę i ludowców ideały demokracji, oraz Aleksandry Dulickiej, która ma z całej trójki największe doświadczenie polityczne. No i jest kobietą. Nie upieram się przy nazwiskach; upieram się przy logice wyboru kandydata. Członek PO w tej roli oznacza reelekcję Dudy.



Premier Gowin

Radosław Sikorski

Wielu jest wygranych ostatnich wyborów. Lewica i Zieloni – wiadomo. Także Zbigniew Ziobro, który w odróżnieniu od Mateusza Morawieckiego nie musi już drzeć o miejsce w rządzie. Ziobro może stworzyć nie tylko alternatywny klub, ale i w sojuszu z bratnią Konfederacją stworzyć polski Jobbik. Wobec zdrowotnych i kalendarzowych oznak schyłku Jarosława Kaczyńskiego minister sprawiedliwości uplasował się tym razem jako delfin rzeczywisty, a nie gazetowy. Najbardziej osobiście ucieszył się zapewne Stanisław Gawłowski, który jeszcze w zeszłym roku kosztował więziennego chleba, a teraz, dzięki 320 ekstragłosom zdobytym wbrew woli macierzystej partii, zdecydował o utracie Senatu przez partię rządzącą. Zarówno on, jak i Krzysztof Kwiatkowski są żywymi dowodami na utratę wiarygodności prokuratury po przejęciu jej przez polityków. Dopóki prokuratura była niezależna, postawienie zarzutów równało się eliminacji z polityki. Ale suweren przestał prokuraturze wierzyć.

Na nowe polityczne orbity weszli niewątpliwie zarówno Małgorzata Kidawa-Błońska, jak i Władysław Kosiniak-Kamysz. Ale największym wygranym w średniej perspektywie może okazać się wicepremier Jarosław Gowin. Gowin może bowiem, tak jak Ziobro, stworzyć osobny od PiS klub, ale też nawiązać współpracę nie z niszową Konfederacją, lecz z całą resztą opozycji. W rządzie PiS pozycjonował się jako zwolennik liberalnych rozwiązań gospodarczych i jako sceptyk co radykalniejszych szarż Kaczyńskiego. Gowina nie obciąża za bardzo łamanie konstytucji, bo wszak się z tego nie cieszył. Nie ma też osobistych powodów, aby bać się prokuratury po przywróceniu jej niezależności. A widzi z drugiej strony, że mariaż z Kaczyńskim doprowadził do katastrofalnego spadku poparcia wśród jego osobistych wyborców.

18 szabel Porozumienia to różnica między rządami PiS a rządami opozycji. **Jest to jedyna konfiguracja, w której Gowin może zawalczyć o szczyt. A ponieważ Grzegorz Schetyna też dziś walczy, to załóż się, że dawni zorzestcy koledzy partyjni już mają tajny kanał komunikacji.** Rząd byłego zastępcy Tuska jest w tej chwili jedyną szansą na przywrócenie w Polsce rządów prawa. Jeśli Paryż wart był mszy, to polska demokracja warta jest premiera Jarosława Gowina.



Sforsowane drzwi

Marek Borowski

Dziewiąta kadencja Senatu szczęśliwie przeszła do historii. W czasie tych czterech lat wielokrotnie czułem się, jakbym żył w świecie Orwella, w wymyślonej przez

niego w „Roku 1984” Oceanii, w której rządzi szerzące kłamstwa Ministerstwo Prawdy. W tę orwellowską atmosferę idealnie wpisał się marszałek Karczewski, pod którego rządami Senat stał się tępą maszynką do głosowania, dopuszczającą jawne łamanie konstytucji i regulaminu tej izby, lekceważącą wszelkie opinie ekspertów, w tym własnego biura legislacyjnego. Pan marszałek był o toż łaskaw na zakończenie tych czterech lat tak oto podsumować swoją i swoich partyjnych kolegów pracę: „Pragnę serdecznie podziękować państwu za wysiłek w tworzeniu prawa służącego społeczeństwu oraz wzmacnianiu demokratycznego państwa. Ufam, że nowy Senat będzie podtrzymywał tradycje IX kadencji, [która wpisała] naszą Izbę w krajobraz polityczny Polski jako izbę refleksji i zadumy”.

Jedyna refleksja (i to bez żadnej zadumy), jaka się nasuwa po tych słowach, to: nigdy więcej! Pan Smith, bohater powieści

Orwella, najpierw buntuje się przeciwko zalewowi kłamstwa, jednak stopniowo popada w apatię. **Na szczęście polskie społeczeństwo nie zobojętniało i wybrało Senat, który daje szansę na to, że inna polityka jest możliwa. Stało się tak dzięki współpracy ponad podziałami**, co od czasu przystąpienia do Unii Europejskiej wydawało się absolutnie niemożliwe. Mam drobną satysfakcję, że byłem prekursorem tej idei, pisząc na tych łamach dwa i pół roku temu (POLITYKA 9/17): „Twarde dane pokazują, że z PiS można wygrać, ale tylko działając wspólnie. Wystawiając wspólne listy, a w wyborach większościowych – wspólnych kandydatów”.

Liderzy partyjni podjęli tę inicjatywę i chwała im za to, ale na otrąbienie sukcesu jest jeszcze stanowczo za wcześnie. Dwa głosy przewagi to ciągły taniec na linie. Aby z niej nie spaść i nie rozczarować wyborców, potrzebna będzie ogromna dyscyplina opozycyjnych senatorów, dobra komunikacja między nimi – i ze społeczeństwem – wreszcie, *last but not least*: wypracowanie nowego wizerunku i roli Senatu w obecnych realiach ustrojowych (swoje propozycje w tym zakresie przedstawiłem w felietonie „Izba bez refleksji”, POLITYKA 7/18). A wszystko to musi udźwignąć i przeprowadzić nowe prezydium Senatu, którego wybór będzie pierwszym sprawdzianem, czy te szczytne założenia mają szansę realizacji. Sforsowaliśmy drzwi do gmachu demokracji, ale na razie weszliśmy tylko na pierwsze piętro.

A, i jeszcze jedno: w tym gmachu nie ma windy – są tylko schody.



Pakt prezydencki

Aleksander Hall

Zdawałem sobie sprawę ze stawki wyborów, ale nie byłem optymistą co do ich wyników. Spodziewałem się dość wyraźnego zwycięstwa PiS. Końcowy rezultat jest więc lepszy, niż zakładałem. Zwycię-

stwo opozycji w wyborach do Senatu jest znakiem nadziei na przyszłość. Okazało się także, że wcale nie było przesądzone, iż obóz władzy będzie dysponował bezwzględną większością w Sejmie. Gdyby kampania wyborcza Koalicji Obywatelskiej była bardziej spójna i mniej chaotyczna, mogło być inaczej.

Co czeka nas w najbliższej przyszłości? Jarosław Kaczyński utrzyma kurs polityczny, którego celem jest zmiana ustroju państwa i koncentracja coraz większej władzy w jego rękach. Ziobro i Gowin wzmocnili się, ale się nie wyłamują. Będą realizować kurs wytyczany na Nowogrodzkiej. Senat wybierze marszałka z opozycji. PiS-owi nie uda się bowiem przeciągnąć na swoją stronę senatorów, którzy zdobyli mandaty w ostrej konfrontacji z kandydatami partii rządzącej. Sondaże wskazują Andrzeja Dudę jako faworyta przyszłorocznych wyborów prezydenckich, jednak wcale nie nokautuje on w nich swoich potencjalnych konkurentów. Warto tu przypomnieć, że Bronisław Komorowski jeszcze kilka miesięcy przed poprzednią prezydencką elekcją deklasował rywali – pamiętamy, jak następnie topniała ta przewaga. **W świetle wyników ostatnich wyborów parlamentarnych widać wyraźnie, że naprawdę może je wygrać kandydat opozycji. Byłby to punkt zwrotny w polskiej polityce.**

Stawka nadchodzących wyborów jest więc ogromna. Opozycyjne ugrupowania powinny zatem zawrzeć pakt o nie-agresji i nie atakować się w pierwszej turze, a następnie – po-przec kandydata, który znajdzie się z urzędującym prezydentem w drugiej turze. Inną drogę wskazuje Kosiniak-Kamysz, proponując rozważenie prawyborów wśród opozycyjnych kandydatów. Warto rozważyć i tę propozycję, choć wydaje się ona trudniejsza.



Oslabianie organizmu

Róża Thun

Stażystka w moim brukselskim biurze (19 lat) była pod dużym wrażeniem tego, z jak ogromnym zaangażowaniem – i całkiem

niezłą znajomością faktów – wielu jej kolegów stażystów z innych krajów Unii komentowało kolejne wyborcze zwycięstwo PiS: „**Przecież oni są bardzo młodzi, Polska jest daleko, a tak przeżywają, że ten PiS znowu wygrał.** Aż dziwne”. Otóż, to wcale nie powinno dziwić. Wielka Brytania wychodzi z UE, więc Polska staje się piątym co do wielkości państwem unijnym. To oznacza potencjalnie bardzo znaczący wpływ na całość struktury. Potencjalnie, bo polski rząd może w Radzie korzystać ze swojej siły albo też stać z boku i tylko poħukiwać z nadąsaną miną. Polscy parlamentarzyści w PE mogą pracować w komisjach, grupach roboczych, delegacjach czy intergrupach nad najlepszymi rozwiązaniami dla obywateli i przedsiębiorstw, dla ochrony klimatu, nad wspólną polityką zagraniczną i obronną. Ale mogą też siedzieć we własnym gronie i pojawiać się tylko wtedy, kiedy jest okazja komuś naubliżyć (najchętniej Timmermansowi) i potem udostępniać te patriotyczne wyczyny na swoich profilach w mediach społecznościowych. Po brexicie Polska dostanie jedno miejsce więcej w PE, a tym 52. europoseł będzie znany specjalista od jenotów i egzorcyzmów Dominik Tarczyński.

Patrz na nas, bo jesteśmy częścią nich. Bo razem jesteśmy jednym organizmem. Nie dziwi więc ten niepokój, że część tego organizmu to państwo, którego władze łamią wspólne zasady, w tym tę podstawową: trójpodział władzy. W ten sposób osłabia się całość. Nie zaskakuje więc, że prezydent Macron sprzeciwia się przyjmowaniu kolejnych państw naszego regionu do Unii. Najpierw wzmocnić i uporządkować, a potem dopiero rozszerzać o kolejnym rozszerzaniu – słychać coraz głośniejsze głosy w Brukseli. A przecież mieliśmy być najsilniejszym krajem Unii w naszej części Europy... Po tych wyborach jeszcze trzeba na to poczekać.

Wybrańcy

Prawie jedna trzecia debutantów, najwięcej kobiet w historii i pełne spektrum polityczne – od lewicy po skrajną prawicę. Wybrany niedawno parlament zapowiada się dużo ciekawiej od poprzedniego.

Nowy Sejm będzie rzeczywiście nowy, mandaty obejmie w nim 141 debutantów. 285 posłów zasiadało już przy ul. Wiejskiej w poprzedniej kadencji, a 34 powróci do Sejmu po krótszej lub dłuższej przerwie. Tylko jedna z nich – Iwona Śledzińska-Katarasińska (PO) – jest posłanką nieprzerwanie od 1991 r. W Senacie zasiądzie z kolei 39 nowych senatorów, 59 senatorów odnowi mandat, a dwóch powróci do Senatu po kilku latach przerwy.

Wraz z powrotem lewicy i wejściem skrajnie prawicowej Konfederacji Sejm będzie dużo bardziej różnorodny. To może być mieszanka wybuchowa.

Pojedyunki liderów

W wyborach do Sejmu najwięcej emocji wzbudzały pojedynki liderów. W Warszawie z najlepszym wynikiem w kraju (416 tys. głosów) wygrała Małgorzata Kidawa-Błońska, „jedyńka” Koalicji Obywatelskiej. Prezes PiS był w stolicy drugi, głosowało na niego 248 tys. osób, co jest jego osobistym rekordem – Jarosław Kaczyński nie miał takiego poparcia, nawet kiedy w 2005 r. wygrywał wybory w Warszawie z Hanną Gronkiewicz-Waltz. Kandydatka KO na premiera

kultury Piotr Gliński („jedyńka” PiS, 43 tys.) przegrał z komentatorem sportowym Tomaszem Zimochem (KO, 47 tys. głosów). W Szczecinie Sławomir Nitras (KO) z 78 tys. głosów pokonał Marka Gróbarczyka z PiS (58 tys. głosów), ministra gospodarki morskiej. Trzeci wynik w KO po Kidawie-Błońskiej i Budce.

Debiutanci i powracający

Proporcjonalnie najwięcej debutantów zdobyło mandaty z list Lewicy – 38 z 49 posłów. Wśród nich jest sześcioro reprezentantów Partii Razem (oprócz Zandberga także Marcelina Zawisza czy Magdalena Biejał) oraz 19 posłów Wiosny. To m.in. prof. Maciej Gdula (35 tys. głosów jako „jedyńka” w okręgu 13., krakowskim), kiedyś związany z „Krytyką Polityczną”, oraz Krzysztof Śmiszek, prawnik od praw człowieka i prywatnie partner Roberta Biedronia, który zdobył we Wrocławiu 43 tys. głosów.

Z list Lewicy do Sejmu weszło sporo działaczek społecznych. We Wrocławiu z ostatniego 28. miejsca mandat zdobyła Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, organizatorka Czarnych Protestów. Hanna Gill-Piątek, aktywistka miejska, osiągnęła drugi wynik na liście SLD



Debiutanci: Adrian Zandberg, Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, Krzysztof Śmiszek, Iwona Hartwich.

nie pobiła jednak wyniku Donalda Tuska, na którego w Warszawie w 2007 r. zagłosowało 534 tys. osób.

W stolicy sprawdził się także Adrian Zandberg. Jego 140 tys. głosów to najwyższe poparcie wśród kandydatów z list SLD. Na Janusza Korwin-Mikkego zagłosowało w Warszawie 60 tys. osób – więcej niż na kandydata PSL Władysława Teofila Bartoszewskiego (30 tys.).

Z Wrocławia spłynęły złe wieści dla Grzegorza Schetyny, który wyraźnie przegrał z Mirosławą Stachowiak-Różecką (PiS): 67 do 91 tys. Z inną „jedyńką” PiS Anną Marią Pieczarką w Tarnowie porażkę odnotował lider PSL Władysław Kosiniak-Kamysz (miał 34 tys., a Pieczarka 75 tys. głosów). Premier Mateusz Morawiecki zdobył swój pierwszy poselski mandat w Katowicach ze 133 tys. głosów, pokonując Borysa Budkę, na którego zagłosowało 99 tys. osób (drugi wynik w KO).

Wyborcy z innych dużych miast dokonywali ciekawych wyborów. W Poznaniu Joanna Jaśkowiak (67 tys., KO), żona prezydenta miasta Jacka Jaśkowiaka, wygrała z minister przedsiębiorczości i technologii Jadwigą Emilewicz (PiS, 44 tys. głosów). W Gdańsku najwięcej głosów zdobył z drugiego miejsca na liście PiS Kacper Płażyński – 89 tys. Drugi był syn byłego prezydenta Jarosław Wałęsa (62 tys. głosów). W krakowskim okręgu nr 13 zwyciężyła Małgorzata Wassermann (PiS, 140 tys. i drugi wynik w PiS), osiągając dużą przewagę nad Pawłem Kowalem (KO, 76 tys. głosów). W Łodzi minister

w Łodzi. Z Zielonej Góry mandat otrzyma Anita Kucharska-Dziedzic (30 tys.), założycielka Stowarzyszenia na Rzecz Kobiet Baba. Kucharska-Dziedzic mówi, że to nie ona weszła do polityki, ale to polityka przyszła po nią cztery lata temu razem ze zwycięstwem PiS.

KO wprowadzi 31 debutantów. To m.in. Iwona Hartwich (11 tys.), startująca z Torunia liderka protestu osób z niepełnosprawnościami w 2018 r. Mandat poselski obejmie Franciszek Sterczewski – to on organizował w stolicy Wielkopolski wielotysięczne „łańcuchy światła” w obronie praworządności. Do Sejmu po raz pierwszy w historii wejdzie także troje posłów z partii Zieloni (Małgorzata Tracz z Wrocławia, Tomasz Aniśka z Zielonej Góry i Urszula Zielińska z Warszawy), a także liderka Inicjatywy Polskiej Barbara Nowacka (89 tys. głosów), która pokonała Marcina Horałę (PiS) w okręgu gdyńsko-słupskim. W Warszawie 6 tys. głosów zagwarantowało mandat Klaudii Jachirze (też KO).

PiS wprowadzi do Sejmu pięciu z dziesięciu najmłodszych posłów – najmłodszym będzie 26-letni Robert Gontarz, dotychczas radny sejmiku warmińsko-mazurskiego (startował z 14. pozycji).

Nowa w Sejmie jest także Konfederacja, wprowadza siedmiu debutantów, m.in. Grzegorza Brauna (31 tys. głosów w Rzeszowie), lidera Ruchu Narodowego w Zielonej Górze Konrada Berkowicza (36 tys. w Krakowie), wiceprezesa partii Wolność Dobromira Sośnierz (22 tys. głosów w Katowicach) i Artura Dziambora (19 tys. w Słupsku).

Aż 34 osoby wracają do Sejmu po przerwie trwającej jedną lub więcej kadencji. Wśród nich posłowie Konfederacji (Janusz Korwin-Mikke i Krzysztof Bosak), ale też SLD – Joanna Senyszyn, Andrzej Szejna (były wiceminister w UKiE), Czesław Siekierski (były europosel, wraca do Sejmu po 15 latach przerwy), była wicemarszałek Sejmu Wanda Nowicka czy były sekretarz generalny SLD i były wice-minister skarbu Marek Dyduch.

W nowym Sejmie zasiądzie 131 posłanek, o siedem więcej niż w poprzedniej kadencji. Stanowiąc będą 28 proc. wszystkich posłów. Najwięcej kobiet wprowadzi PiS (56), 49 posłanek wejdzie z listy KO, Lewica będzie mieć ich 21, PSL – 5, Konfederacja wcale. Procentowo najwięcej posłanek ma Lewica – 42,85 proc. (blisko rekordu Nowoczesnej z 2015 r.), KO – 36,56 proc., PiS – 23 proc. Znacznie wzrosła liczba senatorek – tu mamy skok z 13 do 24. Mamy więc parlament z największą liczbą kobiet w historii.

Największe porażki

Z kim się pożegnaliśmy? W Sejmie IX kadencji zabraknie Anny Sobeckiej (PiS), która uzyskała dopiero siódmy wynik w okręgu toruńskim. Startujący z Krosna były prokurator i szef sejmowej komisji sprawiedliwości Stanisław Piotrowicz zdobył tylko 10 tys. głosów. Do odnowienia mandatu zabrakło mu ok. 800 głosów. PiS zawdzięczało mu m.in. przepchnięcie projektu ustawy o Sądzie Najwyższym – polityk tak poprowadził nocne obrady, że 1,3 tys. poprawek komisja przegłosowała w kilka minut.

szef MON Mariusz Błaszczak w okręgu podwarszawskim dostał 135 tys. głosów, co jest trzecim wynikiem PiS w kraju (po Kaczyńskim i Wassermann). W stolicy mandat zdobył też Mariusz Kamiński (16 tys.) – ułaskawiony przez Andrzeja Dudę były szef CBA. Minister rolnictwa Jan Ardanowski miał najlepszy wynik w okręgu toruńskim. Zebrał prawie połowę głosów całej listy PiS – 76 tys. W Białymstoku najlepszy wynik należał do szefa MEN Dariusza Piontkowskiego (63 tys.).

Marszałek Sejmu Elżbieta Witek „dwójka” na liście PiS w Legnicy, przegoniła pełnomocnika rządu ds. równego traktowania Adama Lipińskiego (dostała 46 tys. głosów). Mandat zdobył także Marek Kuchciński (lider listy w Krośnie, 61 tys. głosów). Byłemu marszałkowi Sejmu nie zaszkodziło wykorzystywanie rządowych samolotów do prywatnych podróży.

Rodzinnie na listach

W krakowskim senackim okręgu nr 32 Jan Duda (PiS), ojciec prezydenta, przegrał z Jerzym Fedorowiczem (KO), na którego głosowało 117 tys. osób. Syn byłego premiera Tomasz Cimoszewicz startował do Sejmu z ostatniego miejsca na liście KO w Białymstoku i dostał tylko 6,8 tys. głosów. Jego też zabraknie na Wiejskiej.

W Sejmie wśród nowo wybranych posłów PiS zadebiutuje 35-letnia Aleksandra Szczudło. To prywatnie żona wiceprezesa państwowej spółki PGNiG Marcina Szczudły. Do Senatu dostała się także Dorota Tobiszowska, radna z Rudy Śląskiej, a prywatnie żona Grzegorza



Powracający: Wanda Nowicka, Janusz Korwin-Mikke. Najmłodszy: Robert Gontarz. Z najdłuższym stażem: Iwona Śledzińska-Katarasińska.

Uciekająca przed osobami niepełnosprawnymi posłanka PiS Bernadeta Krynicka w Białymstoku otrzymała tylko 9,3 tys. głosów, co dało jej dziewiąty wynik na liście PiS. Za mało, by wejść do Sejmu. Z Sejmu odchodzi też Krzysztof Czabański, szef Rady Mediów Narodowych – mimo drugiego miejsca na liście PiS w okręgu toruńskim dostał tylko 5,4 tys. głosów.

Miejsca w Senacie nie utrzyma Konstanty Radziwiłł, pokonał go w warszawskim obwarunku Michał Kamiński, kiedyś związany z PiS, potem z PO, teraz startujący jako kandydat PSL. Kamiński otrzymał blisko 176 tys. głosów, Radziwiłł – 124 tys. „Głosowała na mnie nawet część wyborców PiS” – mówił zwycięzca tej rywalizacji.

W Senacie nie będzie też wyrzuconego z PiS Łukasza Zbonikowskiego ani historyka Jana Żaryna, który twierdził, że to Niemcy kazali Polakom zabijać Żydów w Jedwabnem.

Jak wypadli ministrowie i dygnitarze PiS?

Wicepremier Jarosław Gowin został posłem, ale dopiero z trzecim wynikiem na liście PiS w Krakowie – zdobył tylko 15,8 tys. głosów. Mandat odnowi też wicepremier i szef komitetu stałego rządu Jacek Sasin (91 tys. osób w Chełmie).

W Kielcach wygrał minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro (115 tys.), z kolei w okręgu piotrkowskim – były minister obrony i szef podkomisji smoleńskiej Antoni Macierewicz (31 tys.). Obecny

Tobiszowskiego, byłego wiceministra energii. Uzyskała najlepszy wynik w Katowicach.

W Senacie będzie zasiadać małżeństwo: Bogdan Zdrojewski (startował z wrocławskiego okręgu nr 6) i jego żona Barbara, była radna miasta (startowała z wrocławskiego okręgu nr 8). Także we Wrocławiu drugi wynik na liście PiS i 19 tys. głosów zgarnął syn europosła Ryszarda Czarneckiego Przemysław.

Ile głosów wystarczy

W nowym Sejmie znajdzie się 58 osób, które nie przekroczyły progu 10 tys. głosów. Najmniej zdobył Robert Obaz (SLD) – wystarczyło mu poparcie 4,2 tys. mieszkańców Legnicy. Z kolei Jolanta Banach (SLD) mimo poparcia 22 tys. osób nie zdobyła mandatu w Gdańsku.

Najbardziej wyrównaną walkę wyborczą stoczono w Koszalinie o mandat senatorski. Trzej kandydaci zdobyli zbliżoną liczbę głosów: Krzysztof Berezowski (KW Wyborców Niezależny) – 43,9 tys., Krzysztof Nieckarz (PiS) – 44,6 tys., Stanisław Gawłowski (KWW Demokracja Obywatelska) – 44,9 tys. Miejsce w Senacie znajdzie się tylko dla ostatniego.

Pierwsze posiedzenie nowo wybranych Sejmu i Senatu prezydent Andrzej Duda wyznaczył na 12 listopada.

AGATA SZCZERBIAK

Więcej na Polityka.pl. Spacer po Sejmie i Senacie s. 92.

Wyjdźmy już

Premier Boris Johnson doprowadził do sytuacji, w której niemal każdy scenariusz brexitu jest mu na rękę.

Wśród unijnych urzędników krąży dziś wizja roku 2192. Brytyjski premier odwiedza Brukselę, aby poprosić o przełożenie daty brexitu. Nikt już nie pamięta, jakie są źródła tej tradycji. Ale każdego roku przyciąga ona tysiące turystów z całego świata.

W poniedziałek wiele wskazywało, że owa tradycja rozwija się w przewidzianym kierunku i Wielka Brytania raczej nie wyjdzie z Unii Europejskiej zgodnie z planem 31 października.

W sobotę premier Boris Johnson szykował się do głosowania nad wynegocjowaną przez siebie nową umową wyjściową. Najważniejsza zmiana dotyczy tzw. backstopu, czyli mechanizmu, który miał zapobiec przywróceniu fizycznej granicy na wyspie Irlandii. Według nowej propozycji w unii celnej z Brukselą nie będzie cała Wielka Brytania, a jedynie Irlandia Północna, która zyska status specjalnej strefy ekonomicznej, zarządzanej jednocześnie z Brukseli i Londynu. A to oznacza, że obejdzie się bez granicy. Nie mniej istotne jest też skasowanie tzw. irlandzkiej pułapki. Dotychczasowa umowa przewidywała, że backstop może być zniesiony tylko w przypadku, gdy Unia zgodzi się na alternatywne rozwiązanie. Teoretycznie mogłoby to oznaczać utrzymanie Zjednoczonego Królestwa lub przynajmniej Irlandii Płn. w celnej i regulacyjnej władzy Unii w nieskończoność. Teraz o pozostaniu w brytyjsko-unijnym kondominium mają decydować mieszkańcy Irlandii Płn., choć najwcześniej cztery lata po brexicie.

Do głosowania nad nową umową jednak nie doszło, bo posłowie zdecydowali, że zagłosują dopiero po tym, jak rząd przeprowadzi ustawy realizujące zapisy tejże umowy. Wynikało to z obaw, że jeśli Westminster zaakceptuje umowę Johnsona, zwolennicy zerwania wszelkich relacji z Unią mogą jeszcze zablokować szczegółowe regulacje i w ten sposób zrealizują swój plan. Ponieważ jednak Westminster zaakceptował umowę wyjścia do 19 października, premier zgodnie z prawem musiał poprosić Unię o przełożenie brexitu. Zrobił to, wysyłając do Brukseli dwa listy. W pierwszym poprosił o przełożenie, ale się nie podpisał. A w drugim, już podpisany, Johnson przekonuje unijnych liderów, że zgoda na przedłużenie będzie błędem.

W poniedziałek jeszcze tliła się szansa na brexit 31 października. Ale bardziej realistyczne scenariusze zakładały opóźnienie. Jeśli w tym tygodniu Izba Gmin zatwierdzi umowę wyjściową, możliwe jest wciąż techniczne, kilkutygodniowe opóźnienie brexitu, aby europarlament zdążył z ratyfikacją. Jeśli brytyjscy posłowie odrzucili umowę, Rada Europejska zanim podejmie decyzję o przedłużeniu, musi poznać dalsze plany Londynu. Za drugim referendum wciąż nie ma większości w Westminsterze, a to oznacza przyspieszone wybory. Kto je wygra? Sondaże nie są jednoznaczne, ale Johnson doprowadził do sytuacji, w której nawet przełożenie brexitu już mu nie zaszkodzi – choć obiecywał, że prędzej sennie w rowie, niż o to poprosi Brukselę. Ostatnie manewry parlamentu, choć formalnie skuteczne, są niezrozumiałe dla większości wyborców. Zarówno dla tych, którzy chcą już jakiegokolwiek brexitu, bez względu na konsekwencje. Jak i tych, którym zależało na umowie wyjściowej i cywilizowanym pożegnaniu. Jeśli więc tak to się potoczy i Bruksela zgodzi się na przedłużenie, w przyspieszonych wyborach Johnson dostanie głosy obu tych grup. I prawdopodobnie stabilną większość w parlamencie. Ale może właśnie o to w tym wszystkim chodziło.

ŁUKASZ WÓJCİK



Londyn 19 października 2019 r., obradom Izby Gmin towarzyszyły milionowe demonstracje.



Protest Kurdów przeciwko ofensywie Turcji na Syrię.

Kurdowie w zawieszeniu

Gdyby ktoś przeoczył, w ubiegły czwartek nastąpił „wielki dzień dla cywilizacji”. Prezydent Donald Trump napisał tak o wynegocjowanym przez Amerykanów zawieszeniu broni między Turcją i kurdyjskimi Ludowymi Oddziałami Samoobrony (YPG) w północnej Syrii. Ale był to raczej wielki dzień dla prezydenta Turcji Recepty Tayyipa Erdoğan. Amerykanie de facto zmusili Kurdów, najbliższych sojuszników w walce z tzw. Państwem Islamskim, do pełnej kapitulacji wobec żądań Ankarę. Rozejm zakładał, że Turcy, którzy weszli do Syrii 9 października, wstrzymają ogień na pięć dni. Kurdowie w zamian mają się wycofać na co najmniej 30 km od granicy z Turcją, oddać ciężki sprzęt i rozformować większość oddziałów. Dodatkowo Amerykanie cofną sankcje nałożone na Turcję w związku z tą inwazją.

Do poniedziałku, czyli na dzień przed zakończeniem rozejmu (jeśli się okaże skuteczny, będzie permanentny), niemal wszystkie jednostki YPG wycofały się z przygranicznego pasa. Erdoğan uważa YPG za filię Partii Pracujących Kurdystanu, organizacji, która prowadziła wojnę domową przeciwko rządowi w Ankarze. I jako taka musi być „odsunięta” od granicy z Turcją. Poza tym prezydent Turcji planuje „repatriować” na uwolniony obszar sporą część syryjskich uchodźców z Turcji. Druga strona coraz częściej mówi jednak o czystej etnicznej. Dzień po rozpoczęciu rozejmu prezydent Trump pochwalił się na wiecu, że właśnie rozwiązał 35-letni konflikt kurdyjsko-turecki. Wkrótce się dowiemy, czy tylko na pięć dni.

Robocop i wola ludu

Tunezja ma nietuzinkowego prezydenta, drugiego wybranego w wolnych wyborach po arabskiej wiosnie.

61-letni **Kais Saied**, emerytowany profesor prawa, wykładowca akademicki popularny wśród studentów, prawie nie prowadził kampanii; nie ma partii, nie miał sztabu, zrezygnował z rządowej subwencji wyborczej. Ale był dobrze znany z telewizji, z licznych debat wokół nowej konstytucji (którą potem ONZ uznała za wzorową), gdzie monotonnym głosem, w klasycznym arabskim, wygłaszał swoje długie kwestie. Co przydało mu przydomek Robocopa. Teraz w drugiej turze zyskał gigantyczne 73 proc. głosów (w większości poparli go wyborcy do 25 lat). W finale pokonał innego outsidera, Nabila Karoui, „tunezyjskiego Berlusconi”, bogacza, który postawił na populizm, a kampanię przesiedział w areszcie, oskarżony o korupcję i pranie pieniędzy.

Prezydent Saied budzi kolosalne nadzieje, proporcjonalne do zbiorowego rozczarowania ośmioma latami zmian: korupcją, bezrobociem, terroryzmem, brakiem szans.



Teraz ludzie masowo wiwatowali w Tunisie, wznosząc hasła sprzed lat. Profesor jest zawzrostkiem konserwatystą, zwolennikiem karania za homoseksualizm (bo to „choroba i zagraniczny spisek”) i przywrócenia zawieszanej kary śmierci, jest też przeciwnikiem równości dziedziczenia kobiet i mężczyzn. Ogłosił również, że jego żona nie będzie żadną „pierwszą damą”, bo to kobiecie nie przystoi. Jest gorącym zwolennikiem demokracji oddolnej: aby piramidę władzy zacząć budować od lokalnych wyborów (ludzi, a nie partii), aż po parlament. „Lud nigdy się nie myli” – lubi powtarzać. Czy wprowadzi takie zmiany w czyn? Wybrany właśnie parlament jest bardzo podzielony, największą siłą, Ennahda, umiarkowani islamisci, mają 52 z 219 miejsc. Wyparowała za to poprzednio rządząca partia Wezwanie Tunezji (Nidaa Tounes). Tunezja, jako jedyny z sąsiadów, pozostała po dobrej stronie demokracji; ale cierpliwość ludu pewnie znów zostanie wystawiona na ciężką próbę.



Dolewanie oliwy

Ponad pół tysiąca rannych, w tym 7 osób poważnie i 3, które straciły oko w wyniku uderzenia gumowej kuli, 300 aresztowanych, płonące kontenery, ale także półmilionowa, zupełnie pokojowa manifestacja – taki jest bilans trwających od zeszłego tygodnia **protestów w Barcelonie**. Ich powodem są wyroki dla katalońskich liderów niepodległościowych, które 14 października wydał hiszpański Sąd Najwyższy. Zdaniem ponad połowy Katalończyków są one nieproporcjonalnie wysokie: organizatorzy nielegalnego referendum z 2017 r. zostali skazani na kary od 9 do 13 lat więzienia za podżeganie do buntu i malwersację środków publicznych.

Kataloński ruch niepodległościowy znany był dotąd ze swojego pacyfizmu, który w uzasadnieniu wyroku uznał nawet Sąd Najwyższy. Pryncypiów nie zmienia – od przemocy odcięli się wszyscy uwięzieni. W cieniu narastających od prawie dekady niepodległościowych dążeń wyrosło jednak najmłodsze, zbuntowane pokolenie, które głos autorytetów ma za nic, a na ulicach chce się wyżyć. Komentatorzy zauważają z goryczą, że liderów organizacji społeczeństwa obywatelskiego odpowiedzialnych za wielomilionowe i niezmiennie pokojowe demonstracje, Jordiego Cuixarta i Jordiego Sáncheza, skazano właśnie na 9 lat więzienia.

To, co dzieje się w Barcelonie, to tylko symptom głębokiego instytucjonalnego kryzysu, w którym pogrążona jest Hiszpania. Perspektywy wyjścia z katalońskiego impasu są jednak dość marne. Pełniący funkcję premiera Pedro Sánchez nie odbiera telefonu od premiera Katalonii Quima Torry, ten zapowiada kolejne referendum, a politycy hiszpańskiej prawicy – na czele z Albertem Riverą z partii Ciudadanos/Obywatele – dolewają oliwy do ognia, porównując sytuację w Barcelonie z... Aleppo. Przyczyna jest prozaiczna. Za niecały miesiąc odbędą się w Hiszpanii przyspieszone wybory do parlamentu, a podtrzymywanie katalońskiego konfliktu po prostu się – przynajmniej na krótką metę – opłaca.

Skok przez jacht

Rządzący Fidesz analizuje przyczyny, dlaczego po raz pierwszy od dekady w ostatnich wyborach lokalnych zacięła się na Węgrzech maszynka do głosowania. I to z bolesnym skutkiem: opozycja odbiła Budapeszt i sześć innych dużych miast. Symboliczna jest utrata stolicy (jak dla Erdoğan'a utrata Stambułu), gdzie zwyciężył Gergely Karácsony, kandydat zjednoczonej opozycji, wyłoniony w prawyborach. Co pokazało, że Viktor Orbán ma już z kim przegrać. Wielu ludzi władzy wskazuje teraz, że to wszystko przez Zsolta Borkaia, burmistrza Győru (gdzie kwitnie niemiecki przemysł samochodowy), złotego medalisty w skoku przez konia z Seulu. Na dwa tygodnie przed wyborami na platformie Pornhub ukazał się anonimowo filmik pokazujący tego bogobojnego ojca rodziny, jak bankietuje na jachcie u wybrzeży Chorwacji w towarzystwie pań, butelek, kokainy oraz pewnego biznesmena, na którym ciążył zarzuty korupcyjne (ziemia dla montowni Audi).

Ten kryzys wizerunkowy załatwiano tradycyjnie: bagatelizując go, niech sam przycichnie. Borkai gimnastykował się, zamieszczał filmiki z uśmiechniętą rodziną i twierdził, że tamten z jachtu został zmanipulowany. Ale skandal nie chciał przycichnąć, na dwa dni przed wyborami propagandowy „Magyar Nemzet” wezwał mera do dymisji, co uznano za wyrok wydany przez samego Orbána, ale nic takiego nie nastąpiło. Borkai wygrał wybory w Győr z 44 proc. głosów. Ale kiedy znane już były wszystkie sensacyjne wyniki, został pospiesznie usunięty z Fideszu. Według krążącej analizy to on zainfekował duże ośrodki, gdzie więcej inteligencji i większe wpływy (szczątkowych) niezależnych mediów. W mniejszych ośrodkach i na wsi Orbán trzyma się mocno.

Nie tak miało być

Oficjalny wieczór wyborczy PiS przy Nowogrodzkiej zakończył się już godzinę po ogłoszeniu pierwszych sondażowych wyników. Wygaszanie świateł było dla działaczy jasnym sygnałem, że trzeba się rozejść, bo nie ma powodów do wielkiego świętowania.

ANNA DĄBROWSKA

Prezes miał mieszane uczucia. Z jednej strony osobista satysfakcja, a z drugiej rozgoryczenie wynikiem – opowiada polityk z władz partii. Kaczyński niby miał powody do zadowolenia, bo był twarzą kampanii, nie musiał się chować, jak wcześniej, za plecami Beaty Szydło, a partia wygrała. Z drugiej strony nie krył rozczarowania, że w obliczu gigantycznych socjalnych transferów sejmowa większość nie stała się bardziej wyraźna. Był „stonowany” do tego stopnia, że następnego dnia wystąpił ponownie, aby wyraźniej podkreślić sukces swojej formacji.

Po ogłoszeniu oficjalnych wyników w centrali PiS przygotowano tabelę pocieszenia. Rozpisano, ile w każdym z 41 okręgów wyborczych PiS zdobył głosów w wyborach – cztery lata temu i teraz. Wtedy 5 711 687 Polaków postawiło na PiS, dziś 8 051 935. Ostatnia kolumna tabeli – wzrost poparcia – w każdym okręgu, jak na giełdzie, cała na zielono. Same wzrosty. Najwięcej wyborców PiS przybyło w okręgu kieleckim – prawie 114 tys., najmniej w łódzkim – trochę ponad 29 tys. – *Najbardziej prezes zadowolony jest z przebicia naszych sufitów. Często powtarzał, że chciałby zbliżyć się do takiej liczby głosów, jaką zebrali w wyborach prezydenckich Lech Kaczyński, a później Andrzej Duda. To miało świadczyć o poszerzeniu elektoratu. I wreszcie to zrobiliśmy. Do rekordowego wyniku Andrzeja zabrakło nam teraz niecałe 600 tys. głosów – słyszymy od polityka z otoczenia prezesa.*

Partyjni malkontenci odpowiadają: i co z tego, że PiS poprzebił sufity, odniósł wiele zwycięstw, również w Polsce zachodniej, jak i tak zebrał wyraźnie mniej głosów niż cała opozycja. Mandatów w Sejmie nie przybyło (jest dokładnie tyle samo co cztery lata temu – 235), Senat przegrany, na Wiejską weszła Konfederacja, a koalicjanci Kaczyńskiego ze Zjednoczonej Prawicy podwoili zasoby, co może rozdzić problemy.

ILUSTRACJA MARCIN BONDAROWICZ



Politycy PiS po pewnej konfuzji i zamieszaniu w przekazach dnia zorientowali się, że zbyt widać po ich minach „gorycz zwycięstwa”, zatem teraz prezentują oficjalny optymizm. – *Tak, jest niedosyt, ale prezes jest w swoim politycznym żywiole. W gabinecie rozpisuje scenariusze, uważnie obserwuje, kolekcjonuje argumenty, które mogą przekonać niektórych do poparcia nas, układa rząd, spotyka się, z kim trzeba, a wiedza o niektórych spotkaniach nie przebija się do mediów* – relacjonuje osoba z otoczenia prezesa. Dał sobie czas na poukładanie spraw i zdecydował, że rząd powstanie w najpóźniejszym możliwym terminie. Inauguracyjne posiedzenia Sejmu i Senatu muszą się odbyć najpóźniej 12 listopada. I taki ostatni możliwy termin wyznaczył Andrzej Duda. – *Prezes jeszcze w tym roku ma zoperować kolana i chce mieć pewność, że w czasie jego rekonwalescencji wszystko będzie poukładane* – mówi jeden ze współpracowników Kaczyńskiego.

Ale w partii nie brak opinii, że już nic nie będzie takie jak wcześniej, że pewien etap rewolucji nieodwołalnie się skończył, a teraz może być tylko trudniej. Wielkie rachunki socjalne nadal trzeba przez lata płacić, a polityczne zyski z nich są już skonsumowane i nie tak duże, jak się spodziewano. Idea „państwa dobrobytu” miała ograniczoną siłę przekonywania. Także propozycja konserwatywnej rewolucji obyczajowej napotkała w społeczeństwie opór, widać ograniczenia takiej oferty. Zmieszanie panuje także w prorządowych mediach, które piszą, po partyjnej linii, o „bezprecedensowym sukcesie władzy”, ale też zauważają, że „formacje III RP” okazały się wciąż bardzo mocne, że teraz wszystkie siły trzeba rzucić na front prezydencki, bo utrata prezydentury, w dodatku przy mniejszości w Senacie, będzie ostatecznym końcem projektu „dobrej zmiany”.

Jeszcze przed wyborami panował ton triumfu, mówiło się o „momencie konstytucyjnym”, krachu opozycji, załatwieniu kwestii prezydenckiej przez uzyskanie większości 276 głosów pozwalającej odrzucać weta głowy państwa. Nic z tych planów nie wyszło. Więcej, pojawił się dawno już niesłyszany ton o „osaczeniu PiS” przez wrogie siły, o „ostatniej szansie” na wolną Polskę, o konieczności „wytężonej pracy”. Taka retoryka więcej mówi o ocenie wyborczego wyniku wyborów niż oficjalna propaganda.

W dodatku PiS de facto stracił większość także w Sejmie. Koalicjanci ze Zjednoczonej Prawicy wprowadzili do Sejmu po 18 posłów. To już są realne siły mogące wpływać na formowanie rządów. Oddanie tylu miejsc na listach koalicjantom wynikało z optymistycznego przekonania, że obóz władzy weźmie z 270–280 mandatów, więc przystawki znikną w tłumie. Ale tłumy nie było. Porozumienie Jarosława Gowina zyskało sześć szabel w izbie niższej, choć ma tylko dwóch senatorów, a miało pięciu. Solidarna Polska zyskała 10 posłów. Na Wiejską trafili najbliżsi ludzie Ziobry z resortu sprawiedliwości – Michał Wójcik, Marcin Warchoł i Sebastian Kaleta – to wiceministrowie, dostał się też rzecznik prasowy resortu Jan Kanthak. Michał Woś, były wiceminister u Ziobry, obecnie minister bez teki od spraw humanitarnych, też zdobył mandat. Drużyna ziobryistów upojona zwycięstwem zaczęła wysoko licytować. Dotychczas obowiązująca umowa koalicyjna trzech partii gwarantuje po dwóch ministrów dla SP i Porozumienia (niekoniecznie konstytucyjnych). Czy pozostanie w mocy, ma się wkrótce okazać.

Jak udało nam się dowiedzieć w dwóch źródłach zbliżonych do Nowogrodzkiej, Jarosław Kaczyński prowadzi rozmowy z PSL. Postawa ziobryistów z ostatnich dni bardzo go do tego zmobilizowała. Z list PSL do Sejmu weszło sześcioro działaczy Kukiz'15. – *Przynajmniej pięciu już wysyłało do nas sygnały,*

że są zainteresowani przejściem do naszego klubu – mówi rozmówca POLITYKI i od razu dodaje, że pięciu to za mało. Kaczyński celuje o wiele wyżej, bo ziobryistów jest 18, choć pewnie, jakby przyszło co do czego, to Ziobro nie może liczyć, że wszyscy pójdą za nim. W czwartek Krzysztof Bosak mówił w programie „Super Expressu”, że „podobno tak mocno go nastraszyli, że Jarosław Kaczyński otworzył jakieś tam zapasowe negocjacje z PSL”. Zastrzegł, że nie wie, czy jest to prawda. Oficjalnie Władysław Kosiniak-Kamysz zarzeka się, że żadnej koalicji z PiS nie będzie. – *To prawda, na razie chodzi o mniej oficjalną koalicję* – słyszymy w PiS od bardzo dobrze poinformowanej osoby. – *Położyliśmy swoją ofertę na stole: marszałek Senatu dla ludowców, a w Sejmie nieformalna koalicja, głosowania za naszymi ustawami. A jeśli wszystko się nam poukłada i nabierzemy do siebie więcej zaufania, to zawiążemy koalicję w sejmikach.*

PiS podobno już zaproponował ludowcom, że w zamian za parlamentarne porozumienie wycofa się z podziału administracyjnego Mazowsza. W szczycie kampanii Kaczyński najpierw w Siedlcach, a potem jeszcze w Radomiu zbierał oklaski za zapowiedzi wydzielienia województwa Warszawa z okolicami oraz województwa mazowieckiego. Dodał, że zrobi to „niezależnie od tego, że się marszałek Struzik sroży”. – *W imię wyższych wartości, jaką jest zachowanie spokojnej większości w parlamencie, jesteśmy w stanie z tego podziału Mazowsza zrezygnować. Nazywany księciem mazowieckim marszałek Adam Struzik, który rządzi tu prawie 20 lat i ma wielkie wpływy w PSL, ucieszy się z takiego obrotu spraw. Ten argument w rozmowach z ludowcami bardzo wiele znaczy, bo to najbogatsze ze wszystkich województw, to matecznik PSL, tysiące stanowisk, agencji i wiele pieniędzy do podziału* – opowiada nasz rozmówca, który zna kulisy negocjacji.

Władzę w Sejmiku koalicja PO-PSL zawdzięcza przede wszystkim warszawiakom. PiS wie, że po wydzieleniu z nowego województwa Warszawy przejmie w całym obwarunku władzę, a ludowcy zostaną z niczym. Partia z zieloną koniżynką w logo nigdy po 1989 r. nie była dłużej niż cztery lata poza rządem. Teraz ma w perspektywie osiem lat w opozycji, więc tym bardziej działacze mogą wywierać presję, aby jakoś się z PiS poukładać. W czwartek w Polskim Radiu Władysław Teofil Bartoszewski, warszawski poseł ludowców, zapowiedział, że „PSL w pewnych głosowaniach popierało rząd PiS, mimo że w innych sprawach absolutnie się z nimi nie zgadzało. Opozycja musi być merytoryczna, a nie totalna”.

Adam Lipiński, wiceszef PiS, ostrzegł koalicjantów, że jeśli się nie opanują, to będzie kryzys, a „ofiara tego kryzysu będzie nie PiS, ale koalicjanci”. Jarosław Gowin szybko dał do zrozumienia, że nie wchodzi w sojusze z Ziobrą. Wytknął Jakiemu, że w jego wypowiedziach „pobrzmiwa język Konfederacji”. Szef Porozumienia publicznie zadeklarował lojalność wobec Morawieckiego, którego premierostwo jest „poza wszelką dyskusję”. Gowin po nocnym spotkaniu z Kaczyńskim w Sejmie stwierdził, że co do personaliiów w nowym rozdaniu rządowym mają całkowitą zgodność. Uciął spekulacje, że jego partia ubiega się o tekę MSZ. Bardzo możliwe, że dostanie ją Krzysztof Szczerski. – *Przyjął ostatnio kilka ciosów (miał być komisarzem w UE i zastępcą sekretarza generalnego NATO – red.) i potrzebuje wzmocnienia. Ma dobry kontakt z Pałacem i z Nowogrodzką* – argumentuje za Szczerskim polityk PiS. Jarosław Gowin ma zostać na stanowisku ministra nauki, tak samo jak Piotr Gliński w resorcie kultury. – *Gliński nic nowego nie dostanie, choć chciałby, ale nie udowodnił, że jest mocarzem, ani jeśli chodzi o wynik wyborczy, ani zarządzanie ministerstwem* – mówi osoba z Nowogrodzkiej. ►